

Czas muzyki

Obudziłem się wcześnie, pośród ciszy tego szczególnego czasu tuż przed świtem. Chwilę leżałem spokojnie, wpatrując się w pokryty bliznami niedokończonego remontu sufit. W głowie roily mi się jeszcze senne marzenia, zamglone obrazy odległych krain, których nigdy nie widziałem, lecz do których rozpaczliwie tęskniłem.

Spróbowałem zamknąć oczy, aby przywołać ich wspomnienie, lecz wszystko rozplynęło się, rozwiało i znikło. Leżałem więc na wznak, pełen rozczarowania, bólu i zniechęcenia. Umysł miałem pusty, nawet wczorajszy dzień umknął z niego, dołączając do zapominanych archiwów historii, z których nikt nie korzysta. Po co pamiętać, skoro przeszłości nie da się zmienić, ani do niej powrócić?

Dzień powoli stawał się rzeczywistością. Gdzieś zza ściany dobiegały pierwsze dźwięki codzienności. Ktoś odkręcił kran, aby przemyć twarz i nabrać energii do nowego dnia. Obok, samotna kobieta włączyła telewizor, aby w jednej ze stacji szukać przepisu na szczęście. W wynajętym mieszkaniu kochanek cicho wstał z łóżka i usiłując nie budzić młodej dziewczyny zaczął się powoli ubierać. Ona jednak nie spała. Przełykała cicho gorzyc rozstania i świadomość, że mężczyzna wróci dziś do żony i dwójki dzieci.

Ciche szmery splatały się w jeden szum. Poranny ceremoniał miasta. Był jak uderzenia tętna budynku, w którym mieszkałem. Z pozoru głośne, lecz gdy przestawało się na nich skupiać, ulatywały gdzieś w ciszę, odsuwając się poza granice percepcji.

Nie wiem, ile czasu tak leżałem. Z otwartymi oczami - lecz przecież jakby śniąc. W końcu przestrzeń za oknem wypełniła się czerwonawą szarością zwiastującą nieuchronne nadejście świtu.

Usiadłem na łóżku i rozejrzałem się po anonimowym pokoju, w którym spędziłem ostatnie dni. A może tygodnie? Nie pamiętałem tego i nie chciałem pamiętać. Nie było to istotne. W każdym razie nie w chwili, gdy chciwie zaciągnąłem się pierwszym, porannym papierosem. Siwe języki dymu układały się w zagadkowe, splecione wzory, a ja obserwując ich powolny taniec, wsłuchiwałem się w ciszę.

Cisza. Jakże jest piękna i doskonała. Jak wyglądał kosmos, gdy jeszcze nie było w nim nikogo, kto potrafiłby ją docenić? Był chyba tylko miejscem. Pustym i zimnym, w którym wszystko toczyło się bez sensu, bez obserwatora, który potrafiłby zrozumieć znaczenie wydarzeń. Wszystko było zawieszona w wiecznej potencjalności, w ciszy i w ciemności. Nie było światła, nie było ruchu, nie było gwiazd. Pradawne królestwo nicości. Wieczny ołtarz ciszy i pierwotnego nieistnienia.

A jednak od majestatycznego spokoju Ciszy jeszcze doskonalsze jest Zapełnianie. Któż zrozumie to lepiej od muzyka? Od pierwszych świadomych chwil istnienia, pamiętam jak bardzo ważne były dla mnie dźwięki. Kim byłbym, bez tych prostych drgań powietrza, układających się w najbardziej wysublimowane doznania? Jaki sens miałoby moje życie, gdyby nie było w nim melodii? Czy w ogóle mógłbym powiedzieć, że istnieję? A inni? Jak przekłada się moja muzyka na życie innych? Czy zdają sobie z tego sprawę? Czy potrafią rozumieć Muzykę tak jak ja, który

przecież od niepamiętnych czasów wiem, jak jednym ruchem palców na instrumencie przywołać śmiech, łzy, zazdrość lub gniew.

Muzyka jest najdoskonalszą formą ekspresji. Żadna inna ze Sztuk nie jest tak szeroka, tak nieograniczona. Zapisane Słowo jest spętane jednoznacznością emocji, które się z nim wiążą. Namalowany obraz jest zafałszowany wizją twórcy. Muzyka jest inna. Ma w sobie potencjał niedoścignionej technicznej precyzji, wielowymiarowość abstrakcji, siłę tworzenia i niszczenia zarazem.

Wstałem i przeciągając się leniwie rozprostowałem członki. Zgasilem papierosa i wolnym krokiem podszedłem do okna. Za szklaną taflą szyby rodził się właśnie cud świtu. Złota fala sunęła przez rozpościerające się u moich stóp miasto jak płomień pożaru rozpalający suchy las. Rozpalona światłość pochłaniała szare, betonowe budynki, ulice i pierwszych przechodniów, którzy spieszyli się do pracy.

Otworzyłem okno. Świeże, zimne powietrze wdarło się do pokoju. Przymknąłem oczy i wystawiłem twarz na promienie wstającego słońca. Wyobraziłem sobie przez chwilę gorejącą kulę materii, niezmierny wulkan kipiącej Kreacji, samotnie zawieszony gdzieś tam, daleko, w czarnej Nicości. Widziałem tę rozpaloną do granic fizycznych możliwości sferę, która budzącym grozę i zachwytem żarem oświeca zimną Pustkę. Patrzyłem na nią oczami duszy, z daleka obserwując wyciągnięte w przestrzeń macki protuberancji – ognistych jezorów słonecznego blasku, które były większe niż cała Ziemia.

Słońce dopiero wstawało, a jednak już czułem jego życiodajne ciepło, choć byłem rzucony miliony kilometrów od jego gorejącej powierzchni. Czyż można się dziwić, jak wielką czią otaczali je pierwotni ludzie u zarania cywilizacji? Czymże była w owych czasach ludzkość wobec tej niemal boskiej potęgi i mocy...?

Odwróciłem się w stronę pokoju i poszukałem wzrokiem skrzypiec. Leżały tam, gdzie porzuciłem je wczoraj. A może było to tydzień temu? Schyliłem się i ująłem w dłonie instrument, pieszcząc palcami jego drewnianą powierzchnię. A potem, wiedziony potrzebą chwili, zacząłem grać. Melodia kłębiła mi się w głowie, rozbrzmiewała w moim sercu i sama spływała mi na smyczek. Była jak żywa, próbująca się wydostać na świat istota.

Brzmiała tak mocno, że choć nigdy jej nie słyszałem, to ten spontaniczny hymn ku światłu, ku rodzącemu się Słońcu, był dla mnie tak naturalny jak oddychanie. Pasaże spływały wprost na struny. Muzyka to wiła się w strzelistych uniesieniach, to spływała w dół, rozlewając się szeroko w dolnych rejestrach. Pozwoliłem jej na swobodę, na radość dziecka, które pierwszy raz widzi ciepłą jasność poranka.

Któryś z moich sąsiadów uznał, że mój zachwyty nad boskim cudem narodzin światła rani jego wrażliwe uszy. W rytm muzyki wdarło się natrętne, niecierpliwe stukanie w ścianę. Harmonia dźwięków pękła. Dźwięki poplątały się, zeszyły z ustalonej drogi, chwilę beznadziejnie walczyły o odzyskanie równowagi, lecz w końcu poddały się i zamarły. Opuściłem skrzypce. Smyczek wypadł mi z dłoni i z głuchym stukotem spadł na podłogę. Muzyka w mojej głowie cichła i odpływała w dal.

Westchnąłem i odłożyłem skrzypce. W jednej chwili pokój zamarł w upiornej ciszy, a ja doznałem straszliwego uczucia krzywdy i samotności. Poczułem, jakby ktoś wyrwał mi duszę. Choć dźwięki już umilkły, to wzbudzone przez nie rezonanse jeszcze trwały, zawieszane w moim umyśle.

Och, jakże nienawidziłem tego prostackiego człowieka, który zabił we mnie poezję tej skrzypcowej chwili. Jakże złorzeczyłem. Jakże pragnąłem, aby wpaść na niego całą mocą, oszalałym huraganem dźwięków zmusić go do odczuwania. Wedrzeć się przemocą w jego umysł, rozedrzeć jego prymitywne istnienie feerią barwnych tonów. Ukazać mu zdumiewającą potęgę Muzyki.

I wtedy znowu pomyślałem o leżącym na dnie szafy instrumencie. Instrumencie, który był po stokroć doskonalszy od najlepszych skrzypiec Stradivariusa. Którego maestrii nie byłem w stanie sam ogarnąć. Poczułem nagle przesywające pragnienie, aby jeszcze raz móc napawać się doskonałością jego kształtów, choć przez chwilę...

Stałem z bijącym sercem przed jedynym w moim mieszkaniu meblem. Ostrożnie, z namaszczaniem otworzyłem drzwi i wyciągnąłem z ciemnego wnętrza proste, drewniane pudełko. Było niepozorne, przysypane kurzem, lecz skrywało mój największy i jedyny skarb. Uśmiechnąłem się i delikatnie pociągnąłem palcami po smukłych kształtach pojemnika. Przedłużałem sobie moment otwarcia skrzynki, jak dziecko które ukradkiem sięga po gwiazdkowy prezent, choć wie, że zajrzenie do niego przed oznaczoną porą jest grzechem. Ale Występek jest nieodłącznym towarzyszem każdej istoty – od chwili gdy człowiek zerwał pierwszy zakazany owoc.

Przymknąłem oczy i smakowałem dotykiem wszelkie zawiłości drewnianego pudełka. Bywały takie dni, gdy potrafiłem całymi dniami śledzić nierówności słoików, zapominając o całym świecie. Drewno było stare, bardzo stare, lecz dzięki starannej opiece wymykało się uszkodzeniom i zarysowaniem. Każde pęknięcie, każdy ślad na tym cennym opakowaniu byłby dla mnie jak szrama na własnym sercu. Lecz naprawdę, to nie opakowanie było dla mnie tak cenne – lecz jego zawartość.

Czując w uszach dudnienie pulsującej krwi patrzyłem, jak moje palce ukradkiem przesuwają się ku staromodnemu zamknięciu wieka. Chwilę bawiłem się myślą o odstawieniu mego drogiego pudełka – by w końcu małym, niedostrzegalnym ruchem trącić mosiężny zatrzask. W przepelnionym ciszą pomieszczeniu stuk zasuwki rozległ się głuchym, przenikającym duszę hukiem. Drgnąłem, przestraszony – jak dziecko przyłapano na zabawie ogniem. Och, jakże pragnąłem jeszcze raz rzucić okiem na instrument spoczywający w środku ... Kwintesencję doskonałości, esencję czystej Nieskończoności. Instrument, na którym można było zagrać najpotężniejszą Muzyką Świata. Niedoścignione i niespełnialne Marzenie każdego instrumentalisty.

Czy okażę się kiedyś godny gry na takiej muzycznej doskonałości? Nie wiem. Może pewnego dnia poczuję, że to już. Próbowałem sobie kiedyś wyobrazić tę chwilę. Czy spłynie na mnie, niczym olśnienie geniuszu, nieskończony błysk Idei świtającej w umyśle Kompozytora? A może zrozumienie będzie nadchodzić powoli, z ociężałą świadomością

nieuchronności? A może wreszcie stanie się tak, jak w legendzie mówiącej o prastarych słońiach, które czują dotyk zbliżającego się przeznaczenia. Któż to wie? Na razie jednak nie powinienem nawet przelotnie o tym myśleć.

Nie powinienem – a jednak czułem, że umysł znów wymyka się mojej woli i nawraca w stronę pragnień, które jeszcze przed chwilą wydawały mi się zakazane. Jestem jak alkoholik, który prześladowany przez własne sumienie, w pełnych uniesienia słowach wypowiada żarliwe przysięgi, lecz jednocześnie drżącymi dłońmi poszukuje pozostawionej w pokoju butelki trunku. Jeszcze tylko ten raz... jeszcze tylko ostatni łyk... ostatnie spojrzenie...

Pokusa jest zbyt ciężka. A ja jestem słaby. Mam dojmującą świadomość tego, gdy drżąc z podniecenia unoszę wieko.

W środku, skryta pośród czarnej, aksamitnej wyściółki tkwi niewielka trąbka. Jej wysmukły kształt jest kwintesencją sztuki, mistrzostwem elegancji i smaku. Czuję, jak w leżącym przede mną Instrumentie tkwi niezagrana Muzyka – uśpiony demon nieokiełznanej potęgi. Och, jakże słodko brzmiałby, gdyby uwolnić jego potencjał...

Wyciągam dłonie, a potem – pełen szacunku i uwielbienia – dotykam Instrumentu.

W ułamku sekundy, gdy mój palec styka się z powierzchnią trąbki, Muzyka przepełnia mój umysł. Czuję, jak narasta, kaskadami dźwięków pieszcząc niewypowiedziane brzmienia. Najpierw spokojna, ledwo ujawniająca swoje istnienie nad ciszą, będąca zaledwie bladymi zapowiedziami.

Jakże pięknie brzmiałby tu delikatny, kobiecy głos... jak delikatna, nieśmiała pieśń pierwszego ptaka, budzącego się jeszcze przed świtem. Potem gdzieś w dali pojawiałyby się pierwsze mocniejsze tony, zwiastując nadchodzące uderzenie głównego tematu. Tematu, w którym brzmiała by cała Potęga i Moc. Który objawiłby się światu jak ryk pierwotnej burzy, zapomnianej od zarania dziejów pramatki wszystkich huraganów. Burzy, pojawiającej się nad światem z szybkością tornada i niosącej ze sobą całą jego grozę. Och, wygrać z siebie te wszystkie dźwięki, rzucić je w przestrzeń, nadać Ukrytemu jego prawdziwe Brzmienie ...

Padam na kolana, ściskając głowę, którą rozsadza Muzyka. Skrzynka z instrumentem z hukiem ląduje na podłodze, a powietrze przeszywa skowyt bólu, który wyrywa się spomiędzy moich warg. Czuję płynące po twarzy łzy – a może to jest krew? Serce bije się w piersi jak oszalałe, krew z ogłuszającym rykiem przeciska się przez skronie. Zagryzam usta, aby stłumić rozdzierający je wrzask. Przez trwający wieczność ułamek sekundy, jestem pewny, że się poddam, że dam się ponieść bezsłownej Pieśni, że chwycę moją trąbkę i przeleję w nią całą grozę Muzyki. Że cisnę ją w powietrze dla samej rozkoszy ujrzenia jej w pełnej krasie. Och, wyrzucić to z siebie, spojrzeć na swoje dzieło i móc choć przez chwilę zdjąć z siebie to udręczenie...

W tym samym momencie jednak, przerażenie i upojenie własną śmiałością obezwładnia mnie, wtłaczając powietrze z powrotem do płuc, nakładając nowe klamry na uwięziony we mnie Dźwięk, pętając go i zatraskując w skorupie.

*

Stopniowo uspokajałem się, świat wracał do normy... Muzyka cichła, odchodziła i znowu, zawiedziona, układała się do spokojnego snu. Znowu mi się udało... Pełen nagłej słabości, lecz ogarnięty dziwnym spokojem, podniosłem się na kolana ocierając twarz z krwawych łez... Drżącymi rękoma ująłem trąbkę i z pokorną czcią włożyłem ją do niepozornego pudełka, starannie je zamykając.

W zwykłej, normalnej ciszy, gdzieś za ścianami słychać było rodzące się hałasy dnia. Sąsiedzi kończyli pośpieszne, nerwowe śniadania i dopijając łąpczywymi łykami swoje poranne kawy ruszali do pracy. Nadchodził nowy dzień. Jeden z wielu, takich samych, szarych, zwyczajnych i prozaicznych do bólu.

Ale mój Dzień, dzień mojej Muzyki jeszcze nie nadszedł. Więc nadal muszę na niego czekać, mierząc upływający czas kolejnymi, bliźniaczymi wschodami słońca...

*

A siedmiu aniołów, mających siedem trąb, przygotowało się, aby zatrąbić.

I pierwszy zatrąbił. A powstał grad i ogień –

Pomieszane z krwią, i spadły na ziemię.

A spłonęła trzecia część ziemi. I spłonęła trzecia część drzew i spłonęła wszystka trawa zielona.